

Przyspieszenie

W wielu kulturach parzenie herbaty to ceremonia. Japończycy, Chińczycy i Hindusi byli chyba pierwsi. Za nimi poszli inni.

Fory na starcie mieli Brytyjczycy. Przywieźli zioło z kolonii, zalali mlekiem i popijali, opływając w dostatki. Kolej żelazna dowiozła towary na prowincję, gdzie herbaty skosztowali także wieśniacy. Wydawali na nią nawet 10 % swoich dochodów, więc, jak nietrudno się domyślić, starali się ją przyrządzać pieczołowicie. W porównaniu do Wschodu nie była to jednak żadna filozofia, wręcz obrazoburstwo. I wcale nie dotyczy to jedynie tego dalekiego, bo nieco bliżej herbaciana kultura także kwitła w najlepsze. Nawet wyspiarze bardziej od indyjskich specjalów cenili „odmianę” rosyjską, z tym że... nie była to herbata, lecz „koporskiej czar” – napar z wierzbowki i kiprzycy, dziś już rzadko spotykany. Ludzie o nim zapomnieli, bo w XIX wieku handel napitkiem rodził fortuny nie mniejsze niż zbudowane na opium. Rozsiano więc plotkę, że Rosjanie zaprawiają swój specjal białą glinką, która szkodzi zdrowiu. Sprawę przypieczętowała rewolucja, a sami ludzie, już radzieccy, zastąpili swojskie chwasty importowaną na wielką skalę, coraz tańszą cejlonką.

Pozostał jednak rytuał, przejawiający się nie tylko w kolekcjonowaniu samowarów z Tuły. Polega on na skompilowanym parzeniu esencji w małym czajniczku nad wiekiem samowara podgrzewanym parą. Trwa to dłużej niż czytanie niejednej bajki Czechowa. „Czaj” wlewany jest następnie do szklanek, koniecznie z metalowym koszykiem i uszkiem, które nie raz parzy palce. Do jednej trzeciej, mniej więcej, jak kto lubi. Resztę uzupełnia się wrzątkiem, konfiturami i oczywiście pogawędką w gronie przyjaciół, bo dla jednej osoby samowara nie opłacałoby się niepokoić.

Niemal identycznie – w dwóch ustawionych na sobie czajnikach – parzą napój Turcy. Jak w samowarze, na górze dochodzi esencja. Najpierw się herbatę płucze, potem wsypuje do górnego czajniczka i czeka, aż w dolnym woda wypełni się bąbelkami. Wilgotne liście, powoli rozwinięte, nie wyprażone (stąd płukanie), są

zalewane wrzątkiem. Dolny, większy czajniczek, uzupełnia się zimną wodą i dalej ją gotuje, podgrzewając tym samym napar, aż nabierze koloru zastygłej krwi.

Trwa to dobre pół godziny, ale to się nie liczy. Czas herbaciany jest święty. W gorącym klimacie biegnie też leniwiej i nikt za nim nie płacze. Jeżeli zostaniemy zaproszeni na herbatę przez Turka, nie można odmówić. To tak, jakby powiedzieć: nie mam dla Ciebie tej godzinki, czyli napłuć człowiekowi w duszę. Zresztą, nie warto, bo herbata przyrządzona w domu, z troską i szacunkiem dla gościa, jest po prostu wymienita.

O tym, jak ważna jest ta sješta ze szklanceczką, świadczą opowieści młodych mężczyzn, którzy wracają z wojska. Nie narzekają, że prycze były twarde, dola ciężka i bliskich brakowało, ale że... herbata była okropna. Czyli taka, jak wszędzie tam, gdzie czas nie płynie jak rzeka, ale szybuje w dół wodospadu.

Czas i lenistwo spowodowały, że do szklanek rzucamy torebki wypełnione zmiotkami, a nawet zalewamy proszek „instant” kranówką. Wraz z kawą i herbatą rozpuściły się też drobne przyjemności. Byle połknąć, ugasić pragnienie, bo to przecież najważniejsze. Paradoks polega na tym, że sekundy kradniemy sobie wtedy, kiedy powinniśmy powiedzieć: chwilo trwaj.

Po co ta cała gra wstępna? Przejdźmy od razu do rzeczy. Niewykluczone, że w przyszłości nawet seks przybierze postać „instant”. Satysfakcja bez parzenia, za to natychmiast.

Słuchanie muzyki też jest systematycznie odzierane i z czasu, i z ceremoniału. Przed wiekiem pary i elektryczności jedynym sposobem, by jej zasmakować, było wyjście poza swoje cztery ściany. Wszystko jedno, do opery czy do karczmy, bo sprowadzić sobie grajków do domu mogli tylko panowie w siwych perukach. Muzyka była też niepowtarzalna, bo zwykle nowa. I zawsze rozrywkowa, bo taką miała rolę. Oderwania od codzienności, wycieczki do innego wymiaru, gdzie

mięśnie mogą odpocząć (chyba, że chcą tańczyć).

Pierwsze walki, a potem płyty wtoczyły dźwięki w tubę, którą można było ustawić obok fotela. Tak sobie myślę, że to obrazuje proces „cywilizowania” gołej małpy, której kolejne wynalazki i idące za nimi zwyczaje powoli odbierają przyjemność przebywania w stadzie. Niby jest telefon, mail, ale że jakoś nie ma się za bardzo do kogo uśmiechnąć, to i muzyka stała się „poważna”. Zwłaszcza ta starsza, niesłusznie chyba. Bo widział kto, żeby się śmiać w czasie słuchania „Czarodziejskiego fletu” Mozarta? A dawniej ludzie to robili. Nie bez przyczyny, bo przecież muzykę pisano do śmiechu i nie dla znawców.

Jednak „obrządek”, jak przy parzeniu herbaty, pozostał. Przyjął postać obsługi sprzętu grającego. W byle garczku dobrej herbaty nie zaparzysz, na byle radyjku też daleko nie zajedziesz. Jak się chce rozkosznych dreszczy, ważna jest cała otoczką lub inaczej: zabawa. Z winylem jej co niemiara, z kompaktowym plackiem i kasetą – mniej. Nikt jednak nie zaprzeczy, że starania były uzasadnione i przynosiły skutek. Dla jednych mniejszy, dla innych większy. Ci pierwsi zawsze narzekali na brak wygody. Postęp przyszedł im z odsieczą, najpierw dając do ręki pilot, a potem zwalniając z mozołu zmieniania stron, w efekcie przyklejając im tyłek do kanapy. Ten, coraz stateczniejszy, mówił do właściciela: nie podnoś mnie, bo cię skurcz złapie. W końcu udało się muzykę sproszkować, rozbić na bity, a te poskładać w pliki, takie granulki ze skompresowanym smakiem. Do nich zwykle wystarczy kranówka i szczątkowy sprzęt.

Dziwnym trafem, wraz ze śmiercią ceremoniału, zaczęła kuleć jakość. Jest coraz mniej poszukiwanym towarem, bo zabiera czas. Najpierw trzeba zarobić pieniądze, a potem jeszcze się męczyć w trakcie odpoczynku. To oczywisty nonsens, więc miniaturyzuje się i wydatki, i przyjemności, we wszystkich czterech wymiarach. Wystarczą pchelki w uszach, a w plastikowej kostce, za przeproszeniem, flaki.

Pozostają ci drudzy. Wracają do winyli; kto wie, może za 20 lat też do kompaktów? Szukają w niszowych sklepikach „koporskiego czaju”. Niektórzy ze snobizmu, inni z potrzeby serca. Nieważne, grunt, że czarne płyty nie zamieszkały martwe w muzeach, jak dinozaury i tulskie samowary, mimo że wszyscy wizjonerzy im to przepowiadali.

Maciej Strycki